KATOLIK

MILWAUKEE, WIS.

CZASOPISMO POŚWIĘCONE INTERESOM POLAKÓW KATOLIKÓW W AMERYCE.

Nr. 39. Czwartek, 10-go Lutego, 1898. Rok II.

Poglądy farmera.

(Dokończenie.)

Czy niezależność czy herezya.

Że to zaś w każdym salunie znajduje się jaki agent czartowski, który nienawidzi księdza katolickiego, więc też zaczyna taki urwisz niestworzone rzeczy wygadywać, a gdy uważa, że go nikt nie karci, ale każdy rozdziawiwszy gębę, z uwagą słucha, więc ciągnąc rzecz swą dalej, tak powiada: "Co to bracia będziecie słuchać biskupów Ajryszów lub Niemców? co to macie dawać pieniądze na kościoły i na księży, którzy o was nie dbają? Pójdźcie bracia! — wypędźmy księdza i takiego sobie weźmy, jaki nam się podoba". Gdy w dodatku chłopy łakome na piwo, "tryt" dostaną, cała ta zgraja na pół pijana pod przewodnictwem herszta idzie na grunt kościelny, oblega kościół i plebanią — okna wybija, księdza wyrzuca i bunt przeciw prawowitej władzy kościoła podnosi. Dla czego to u Niemców lub Ajryszów coś podobnego się nie stanie? Oto dla tego, że oni nie dadzą posłuchu byle urwiszowi, który z pewnością nigdy ani centa na kościół nie dał, który w starym kraju będąc, urwał się z pod stryczka, a tu przyszedłszy, mając wstręt do pracy, po salunach się potłukuje i w mętnej wodzie ryby łowi. Historya każdej parafialnej wojny udowadnia nam, że przyczyną tejże jest zazwyczaj łatwowierność ludu, który byle opryszka słucha. Mój ojciec, kiedy jeszcze parobkiem byłem, opowiadał, że najmądrzejszego Polaka to i najgłupszy Niemiec wywiedzie w pole — jednego tylko żyda ani sam djabeł nie oszuka. Święte to słowa, a z każdym dniem to widzę, że prawdziwe.

Ta właśnie łatwowierność jest przyczyną, że niektórzy Polacy zostają zacofanymi nawet w rzeczach wiary, bo jej najprostszych zasad nie znają albo je przekręcają. Cóż może być zrozumialszego nadto, co się w katechizmie zawiera o naszym św. katolickim kościele i o jego władzy? Otoż ten katechizm powiada, że kościół katolicki ustanowił sam Chrystus Pan, który zatem jest niewidzialnym jego przełożonym, — że Chrystus Pan ustanowił widzialnym przełożonym napierw świętego Piotra a potem każdego na stępcę na jego stolicy, który się nazywa Papieżem czyli Ojcem całego chrześciaństwa. Temu Ojcu św. są podlegli wszyscy katoliccy biskupi, jako następcy Apostołów. Sam Ojciec św. ma tylko prawo mianować biskupów i ich konsekrować, albo sam albo przez innych biskupów w łączności z Ojcem św. pozostających.

Biskup katolicki, pozostający w jedności z kościołem, ma prawo wybierać sobie ludzi świeckich na kapłanów i ich do Sakramentu kapłaństwa przypuszczać. Lud ma słuchać głosu kapłanów i biskupów. a wszyscy słuchać mają najwyższego pasterza, czyli Ojca św., który musi znowu zdać rachunek przed niewidzialną głową czyli samym Chrystusem Panem. Taka u nas była władza i taka będzie do końca świata, bo jako Pan Jezus nie odmienia się nigdy, tak i nie może odmienić się nigdy to wszystko, co on ustanowił. Skoro taka jest władza naszego kościoła a nie inna, więc kto tej władzy uznać nie chce, ten jest szyzmatykiem. Jeżeli zaś kto jakikolwiek artykuł wiary odrzuca, ten jest heretykiem. Takimi heretykami są właśnie ci wszyscy, co się niby "niezależnymi" nazywają.

Jest to prawda nad prawdami, że nikt odrazu nie będzie złym, tylko do złego idzie po stopniach. Nasi niby niezależni nie zostali heretykami od razu, tylko stopniowo doszli do tego nieszczęścia. Powiada przysłowie, że kto nie słucha ojca lub matki, ten musi słuchać "psiej skóry". Tak to i z tymi Polakami się stało. Nie chcieli prawowitej władzy kościejnej, nie chcieli słuchać matki, nie chcieli od niej być zależnymi, więc na tej zasadzie, że jednak kogoś słuchać muszą i od kogoś zależeć — zależą teraz od heretyka. Kto heretyka słucha, kto jego dążności popiera, ten rzeczywiście sam jest heretykiem, choćby on nie wiem jak się tłumaczył. Takim heretykiem został dawniejszy ksiądz katolicki Kozłowski w Chicago, a to od czasu, gdy przez heretyków na biskupa jest wyświęcony. Herytykiem jest, bo za tę heretycką mitrę wyrzekł się publicznie wiary katolickiej, mówiąc wyraźnie, że nie uznaje ani powagi Ojca św., ani jego nieomylności, gdy tenże naucza, w co wierzyć i co czynić mamy, że nie wierzy w to, aby Najśw. Marya Panna była bez grzechu poczętą ale owszem, iż wierzy w to, że Matka Boża była grzeszną, jak każda inna niewiasta. Cóż zatem idzie? Oto że Pan Jezus narodził się w grzechu, że nie był zatem Najświętszym Bogiem-człowiekiem, że my więc nie zostaliśmy odkupieni, jesteśmy tacy poganie, jakimi byli niegdyś ojcowie nasi. Nie jestże to największa herezya? Czem się różni taki Kozłowski od Marcina Lutra? Chyba tem, że głupszy od niego. Marcin Luter choć był heretykiem, ale przecież nie był takim głupim, aby sobie mitrę kłaść na głowę, bo wiedział przynajmniej tyle, że gdy przeciw jednemu tylko artykułowi wiary wystąpi, to i tak już heretykiem będzie.

Ja nie jestem uczony człowiek, ale zdaje mi się, iż więcej katechizmu umię, anizeli polski heretycki biskup, więc to wiem, że nasza święta wiara katolicka jest jakby łańcuch, którego ogniwami są artykuły wiary. Gdy tylko jeden artykuł wiary wyrzuci się — to już musi się odrzucić wszystkie inne, bo do siebie pasować nie będą. Skoro heretycki biskup odrzucił aż dwa artykuły: o nieomylności Ojca św. i Niepokalanem Poczęciu Najśw. Maryi Panny, więc to jasne jak słońce, że nie tylko jest prostym heretykiem ale i arcyheretykiem.

Powiada przysłowie: "z jakim się wdajesz, takim się stajesz". Dokąd Polacy nie trzymali z heretyckim biskupem, totąd byli tylko zbłąkanymi braćmi. Nie byli nawet szyzmatykami. Od tej atoli chwili, kiedy przyjęli do kościoła, jaki sobie pobudowali na złość arcybiskupowi — Kozłowskiego jako heretyckiego biskupa — od tego czasu sami heretykami zostali, bo przez to samo publicznie wyrzekli się Ojców swoich wiary, oświadczając, że ani o Ojcu świętym, ani o Najśw. Maryi Pannie nic a nic wiedzieć nie chcą. Daleko cięższy sąd czeka ich, aniżeli Lutrów i innych heretyków, którzy się w heretyckiej wierze porodzili. Ci bowiem mogą się tłumaczyć przed Bogiem nieświadomością błędu. Jakże się tłumaczyć będą nasi polscy heretycy? Wszakże we wierze katolickiej byli pochrzczeni, mlekiem katolickiej matki wykarmieni, przez katolickich kapłanów nauczani, przez pisma katolickie tego kraju i starego kraju przestrzegani, przez kościół święty nawoływani do powrotu z drogi błędu, a oto mimo to w złem trwają i heretyków liczbę powiększają! O pożałowania godni Polacy, żeście prawdziwą wiarę porzucili a na heretycką przeszli! Jakiż to wstyd i hańba dla Ojczyzny naszej!

Nie chcę być fałszywym prorokiem, ale to w sercu czuję, już nad grobem prawie stojąc, że ta zbrodnia herezyi, jakiej dopuściła się zaślepiona garstka Polaków na ciele i duchu naszej Ojczyzny przynajmniej o jakie 50 lat przedłuży naszę niewolę. Prawda to święta, że jako Bóg jedno małe przestępstwo karze w życiu człowieka, tak i małe przestępstwo karze w życiu narodu, a cóż dopiero mówić — o zbrodni hereryi.

Farmer ze Zachodu.

Pomyłki Washingtona.

Washingtona obsypano uwielbieniami na największy rozmiar, jaki kiedykolwiek był udziałem zasłużonego. Wielcy mężowie, jak: Brougham, Burke, Napoleon prześcigali się wzajemnie w pochwałach dla niego, a wielu mniejszych, małych i malućkich przyjęło zwyczaj ustanowiony przez tamtych. I w tym roku spodziewać się należy, że w niejednej sali szkolnej lub na zgromadzeniu odemkną mężowie naszego czasu fontannę pochwał i uwielbień, aż nadto godnie zasłużonych. Gdy żył, rzucały mu dzieci kwiaty pod nogi i okrzykiwano go zbawcą kraju; po zgonie kraj nadał swej stolicy jego imię.

Lecz mimo ustawicznego uwielbiania sposobu myślenia i czucia Washingtona, nikt jakoś niechce czy nie umie iść w jego ślady; nikt nie czyni tego, co w nim uwielbia; nikt nie poczytuje dla własnej osoby tego za cenne, co w osobie Washingtona tak ceni i uwielbia. Gdyby dziś wielki Washington wstał zmartwych, musiałby przypuszczać, że albo on nie słusznie tego kraju ojcem nazwany, albo kraj nie ten, w którym on niegdyś zasługi dla jego dobra i ludzkości położył. Washington był pełen religijnych uczuć i głębokiej, mocnej wiary; nie tylko do kościoła uczęszczał i modlił się, lecz pełnił także religią w życiu, we wszystkich przedsięwzięciach i w swej polityce.

Dziś przy końcu wieku 19, gdzie mężowie stanu o 100 lat dojrzalsi, odkrywamy przy elektrycznem świetle naszej polityki, że ujrzałby on się policzonym między zabobonnych; dziś by go Ingersol przekonywał, że się myli i owszem pokazałby mu, jak to się rzuca pochodnię w świątynię ideałów.

Powtóre, nie był on republikaninem, a tu właśnie ta partya ocaliła unią według twierdzenia dzisiejszych jej wyznawców; według tychże samych stronników jest przecież i wierność dla tego stronnictwa wiernością dla unii, dla tego przecież nie mianuje się ludzi na urzędy ze zasługi lub zdolności, lecz z powodu przynależności do tego stronnictwa.

Po trzecie, nie był on demokratą; nie był też i bimetalistą; nie gotował się nigdy do walki w obronie stosunku 16 do 1.

Po czwarte nie był prohibicyonistą, a zatem słusznie powiedzieliśmy, że musiałby się dziś Washington zawstydzić, gdyby z grobu wyszedł na widok tylu modnych bohaterów, zawstydzających go swym postępem.

W swym adresie pożegnalnym upominał Washington ludność, aby się wystrzegała wszelkich stronnictw, które on w czambuł potępił. A czyż nam nasi polityczni bosowie nie mówią, że to dziś jest hypokryzyą, faryzeizmem, teoryą, a nie praktyką, oznaką głupią i daremną?

Zważywszy takie fakta, będą kiedyś musieli wątpić potomkowie nasi, czy taki mąż, jak Washington, był w tym kraju rzeczywiście wobec zasady, iż niemożebnością jest, aby być wybranym na urząd, nie mając za sobą stronnictwa. A nawet będąc wybranym — nie możebnym jest ponowny wybór bez troszczenia się o swych przyjaciół w przeciągu swego pierwszego terminu urzędowego.

Jeszcze jeden gruby błąd Washingtona, potępiony praktycznie za naszych czasów, był w jego polityce interesowej, jeżeli to choć w połowie prawda, co o nim napisane, że nie brał pensyi jako jenerał armii lądowej, lecz utrzymywał tylko rachunki wydatków i przedkładał je kongresowi. Jak tu nawet przypuszczać dzisiaj, żeby mąż stanu odmówił przyjęcia pensyi!

Pod Valley Forge podzielał z wojskiem głód, nie szukając wcale łupu dla zaspokojenia go i modlił się za swój kraj, zamiast szukać łupu w takowym.

Co zaś najbardziej krzyczą co odbija od gustu dzisiejszej ludności amerykańskiej to jego odmówienie przyjęcia korony, a nawet przyjęcia wyboru na prezydenta po raz trzeci. Słowem był to człowiek, nie umiejący chwytać, grabić, anonsować się, blagować i uganiać za pierwszeństwem.

Pomimo tylu obyczajów nie licujących z dzisiejszymi obyczajami, zwyczajami i mądrością naszą, wiemy jednak tyle, że on był ojcem tego kraju. Ciekawość się nasuwa mimo woli, do czegoby też był doprowadził, gdyby tak był miał z naszych czasów gust, n. p. wiarę Ingersola, spryt Vanderbilta, a pięść Fitzsimmonsa. Możeby był jeszcze i matką tego kraju?!

Wie, jak się ma.

Washington D. C. 4. lutego. Na dzisiejszem posiedzeniu senatu odbywała się sprawa godna uwagi każdego obywatela amerykańskiego, bo świadcząca z jednej strony o skuteczności politycznej korby w tym kraju, a z drugiej strony o istnieniu ludzi niezłomnego charakteru, a rozumiejących zarówno swe obowiązki, jak i swe prawa na zajmowanem stanowisku.

Odczytano mianowicie rezolucyą legislatury stanu Kentucky, żądającą, aby senator Lindsay z tegoż stanu zrezygnował, ponieważ jest przeciwnikiem wolnego bicia srebra w stosunku 16. do 1.

Odpowiedź senatora.

Senator Lindsay zaś odpowiada, że przed przyjęciem tej rezolucyi ani skargi przeciw niemu nie wniesiono, a tem mniej nie udowodniono mu, jakoby lekceważył życzenia swych wyborców, lub głosował w jakiejś sprawie wbrew woli tychże, że zatem działalność jego jako senatora jest bez wszelkiej winy i otwartą dla krytyki.

Jeżeli zaś jego wyborcy byli podczas wyborów jednego z nim zdania, a dziś swoje zdanie zmienili, to jemu nie ubliża, iż pozostał niezmiennym i za tę jego niezmienność nie może go nikt zdrajcą nazwać, a to tem bardziej, iż jeszcze dzisiaj przekonany jest, że większość ludności stanu Kentucky nie zmieniła w tej mierze swego zdania.

Stosunek legislatury do senatora Stanów Zjednoczonych.

Dalej tłomaczy senator Lindsay swój stosunek prawny do legislatury w ten sposób: "Pełnię me obowiązki nie pod nadzorem legislatury i nie zastępuję żadnej partyi ani frakcyi, lecz ludność całego stanu i oprócz senatorem z Kentucky jestem i senatorem Stanów Zjednoczonych. Wszelkie więc próby ukrócenia mię bezzasadnego w tych prawach są uroszczeniami praw, jakie nigdy nie istniały i istnieć nie mogą bez naruszenia niezawisłości tego działu urzędowego, który się ciałem prawodawczem całej unii nazywa".

W sprawach miejscowych oświadczył senator, iż gotów jest każdego czasu mieszkańcom Kentucky służyć, lecz w sprawach zarówno dotyczących całej Unii, wychodzić zawsze będzie ze stanowiska najszerszego patryotyzmu i tak czynić chce bez względu na to, czy ktoś postępowanie jego pochwali czy potępi.

Odpierając w ten sposób senator napaść legislatury, pozostawia zarazem bez skutku jej żądanie, aby zrezygnował.

Broszurka o "Niezależnych" wyszła obecnie z druku. Kto jej chce nabyć we większej liczbie niech się po informacye zgłosi do "Katolika". Cena z przesyłką za egzemplarz 7 centow.

PROCES SZERYFA MARTIN'A.

Wilkesbarre Pa., 4. lutego. W procesie przeciw szeryfowi Martinowi, którego pomocnicy 39 strajkerów w Lattimer postrzelili, złożyło 3 świadków, zeznania tak obciążające obwinionych, że w razie braku innych, świadomość w tej sprawie dokładną mających, już sami wystarczyliby do skazania całej kliki Martina za zbrodnię rozboju publicznego pod firmą urzędników. Świadkami tymi są: Doktor Keller, zaopatrujący rany postrzelanych strajkerów, panna Coyle, pomocnica przy szkole publicznej w Lamitter i podróżny Stefan T. Adams.

Dr. Keller zeznał, iż wielu z pośród rannych było postrzelonych w plecy z tyłu; panna Coyle zeznała, że strzelanie trwało oprócz ogólnej salwy jeszcze pojedynczo dwie minuty i to w czasie, gdy strajkerzy uciekali ku szkole, lecz tego nie wie, czy ci, co poupadali, równocześnie upadali, gdy ich kule trafiały, czy w pierwszej salwie byli trafieni i jeszcze pewną przestrzeń biedz zdołali, a nadto, że się pomocnicy szeryfa Ross i Clark z niej śmiali, gdy rannym strajkerom z pomocą pośpieszyła.

Podróżny Adams zaś zeznał, iż nie zdołałby z identyfikować osób tych pomocników szeryfa, którzy jadąc z nim w jednym wagonie do Lattimer, odgrażali się, iż wystrzelają strajkerów.

Jakkolwiek już zeznaniem p. Coyle dowód morderczego zamiaru spólników Martina udowodniony, bo strzelali według jej zeznania wtenczas, gdy strajkerzy uciekali, to jeszcze jest jawny dowód tegoż zamiaru w zeznaniu Stefana Adamsa.

POGRZEB POZNAŃSKIEGO.

Major miasteczka Chippewa Falls, Poznański, umarł 1go i pochowany 3 lutego po południu.

Wiadomość tę podajemy z uwagi, iż nazwisko zmarłego było polskie, o którem jednak cicho było za jego życia wśród Polonii amerykańskiej. Domyślać się zaś wypada, iż był on izraelitą z przybranem polskiem nazwiskiem, ponieważ obywatele wyznania Mojżeszowego z Milwaukee i z Chicago nader licznie się zgromadzili na jego pogrzeb.

Szanownych Abonentów, tak miejscowych jak i pozamiejscowych, upraszamy o spieszne uregulowanie należytości za pismo nasze

"Organ Polsko Narodowej Ligi".

JESZCZE JEDNA POWAŻNA ORGANIZACYA POLSKA.

Obok złego, jakie się w najbliższym czasie pojawiło w łonie naszej narodowości za podszeptem kilku przewrotników, zaczynają i dobrze myślący Bracia nasi pracować pośród Polonii amerykańskiej w kierunku skupiania się w myśl słów nieśmiertelnego poety wieszcza, Ad. Mickiewicza. "*Zestrzelmy myśli w jedno ognisko, w jedno ognisko duchy!*"

Objawem o tem pouczającym są organizacye większego rozmiaru, łączące drobne stowarzyszenia w jedne poważne, polskie katolickie. Jak na Zachodzie Stowarzyszenie Polaków w Ameryce, tak znów na Wschodzie istnieje taka organizacya pod nazwą:

"*Polsko Narodowej Ligi*" z siedzibą centralnego rządu w Jersey City, N. J., którego skład i sprawozdanie urzędowe z ostatniego posiedzenia podajemy.

Wojciech Nowak, cenzor,
1414 Randolph st. Philadelphia, Pa.
Tomasz Kruszyński, wicecenzor,
345 Pavonia av., Jersey City, N. J.
J. Bonkalski, prezydent,
128 Stuben st. Jersey City N. J.
L. L. Pierzchalski, wice-prezydent,
851 S. Front st. Philadelphia, Pa.
J. Wasielewski, kasyer,
338 5-th st. Jersey City, N. J.
Radca duchowny ks. B Kwiatkowski,
357 5-th st. Jersey City, N. J.
W. Jankowski, gener. sekretarz,
316 6-th st. Jersey City, N. J.

Sprawozdanie urzędowe.

Jersey City, N. J., 1 lutego 1898.

Kwartalne posiedzenie Rządu Centralnego Polsko Narodowej Ligi, odbyło się dnia 29 stycznia r. b. w Polsko Narodowej sali przy ulicy Brunswick.

O godzinie 10 rano zgromadził się komitet na czele cenzora Wojciecha Nowaka. Cenzor poprosił Wiel. ks. B. Kwiatkowskiego, jako Radcy Duchownego, aby raczył otworzyć posiedzenie, co tenże uczynił odmówieniem modlitwy. Następnie przeczytał Sekretarz gen. W. Jankowski, protokóły z poprzednich dwóch komitetowych posiedzeń, które przyjęto z poczynionymi uzupełnieniami. Wielebny ksiądz B. Kwiatkowski postawił wniosek, aby Organ Ligi zmienić, co jednogłośnie poparto i odrzucono "Jedność", a po krótkich debatach uznano za Organ Polsko Narodowej Ligi, "Katolika". Po załatwieniu tego przedsięwzięto rewizyą książek, które znaleziono w zupełnym porządku. Prezydent J. Bonkowski zarządził, aby obliczono dochód i rozchód w tym kwartale, co też uczyniono i sprawdzono. Dochodu było $852.11, zaś rozchodu $526.20, pozostaje w banku $332.91. Członków należących do Polsko Narodowej Ligi jest 150.

Z bratniem pozdrowieniem
W. Jankowski, Sekr. gen.

Nowi członkowie przystąpili do Polsko Narodowej Ligi, Towarzystwa Bartosza Głowackiego pod opieką Matki Boskiej Częstochowskiej we Philadelphii, Pa:

1. Wojciech Nowak, prezes.
2. Jan Gaitkowski, vice-prezes.
3. Wilhelm Wentt, kasyer.
4. Franciszek Kubiak, sekr. I.
5. Wojciech Błaszczyk, sekr. II.
6. Antoni Błaszczyk,
7. Ludwik Adamczyk,
8. Józef Błaszczyk,
9. Franciszek Bukowski,
10. Walenty Cichonski,
11. Jan Kapeja,
12. Tomasz Kubiak,
13. Kazimierz Kosiela,
14. Walenty Kupiec,
15. Jan Silka,
16. Stanisław Silka,
17. Marcin Mieloch,
18. Felix Marynowicz,
19. Antoni Młynczak,
20. Marcin Marcinek,
21. Wincenty Szpanielewski,
22. Józef Makurat,
23. Stanisław Salata,
24. Jakób Siwecki,
25. Andrzej Tomczak,
26. Jan Orwat.
27. Gustaw Waiss,
28. Marcin Witkowski,
29. Józef Męrek.
30. Jan Ruszkowiak,
31. Jan Gabryszak,
32. Józef Ruszkowiak,
33. Maciej Szymkowski,
34. Jan Ziołkowski,
35. Jakòb Szafran.
36. Jakób Koryciak,
37. Stefan Romanowski,
38. Józef Słomiński,
39. Walenty Urbanowicz.

KATOLIK

wychodzi w każdy Czwartek.

ABONAMENT:

W Milwaukee za rok cały....$1.00
Numer pojedyńczy............2c
W innych krajach..........1.50

Wszelkie listy i przesyłki pieniężne adresować należy:

JOHN KUK,
Manager of the weekly "Katolik",
Cor. Lincoln & 1. Avs.
MILWAUKEE, - WISCONSIN.

Wydawca: Ks. W. GRUTZA.

Entered at the Milwaukee P. O. as second class mail matter.

List

JENERAŁA MOSKIEWSKIEGO KIRIEJEWA,

pisany z Wiesbaden do Nowoje Wremia

List ten, ogłoszony był w No-7792 rzeczonego rosyjskiego dziennika w Petersburgu, który to numer otrzymał obecnie "Naród Polski" organ Zjednoczenia w Chicago i podaje treść jego świadczącą o wmawianiu się Kozłowskiego do moskwiczenia polaków, jak następuje:

Przejeżdżając z Bonn do Berna, biskup Kozłowski był u mnie (Kozłowskij był u mienia) w Wiesbadenie. Pochodzi on z ruskiej Polski, skończył gimnazyum, był potem w Rzymie, gdzie wstąpił do kolegium propagandy i został księdzem rzym-katolickim.

Z tamtąd przeniesiony do Ameryki, był proboszczem jednej z parafij rzymsko-katolickich, ale następnie, odrzuciwszy niektóre dogmaty Kościoła Rz. katolickiego, a między innymi i o nieomylności Papieża—odpadł od Rzymu i założył starokatolicką parafią.

"W obecnej chwili Antoni Kozłowski stoi na czele 40 tysięcy (?!!) ludzi i jest przekonany, że gdy tylko starokatolicki kościół ustali się w Ameryce, polacy całymi tysiącami odpadną od Rzymu.

"A. Kozłowski zamierza niezachwianie iść tą drogą, jaką pójdą starokatolicy w Europie i spodziewa się, że z czasem jego kościół połączy się ze wschodnią prawosławną cerkwią. (Nadiejetsia, czto sowremieniem i jego cerków sojedinitsia s prawosławnymi wostocznymi cerkwiami.)

"Rozmawialiśmy długo o możliwości i prawdopodobieństwie przyjęcia starokatolicyzmu przez p o l a k ó w rzym-katolików pod zaborem rosyjskim i Kozłowski nie wątpi o tem. Jako urodzony w Polsce byłby się uważał za szczęśliwego, gdyby swą działalność mógł poświęcić temu wysokiemu zadaniu. (My dołgo rozgowariwali o wozmożności i wieroiatności priniatja staro- katolicizma mezi polakami rimsko-katolikami w Rossji. Kozłowskij w etom nie somniewajetsia. Kak urożeniec Polski on był by szczastliw poświatit swoju diejatielnost służenjustoj wysokoj celi.)

"A więc w Ameryce tworzy się nowy, żywotny kościół autonomiczny, szukający z nami, rosyanami zbliżenia i połączenia. (I tak w Amierckie osnowywajetsia nowaja, żyzniesposobnaja awtokefalnaja cerkow, iszczuszczaja s nami ruskimi sbliżenja, wozsojedinienja.

"Co mamy myśleć o tem wszystkim i co w tych okolicznościach czynić nam należy?...."

Aleksander Kiriejew
Wiesbaden, 1 listopada 1897.

Tyle moskiewski czynownik w "Nowom Wremieni" jednem z najbardziej polakożerczych pism w Rosyi. Że Kiriejew nie kłamie, ale pisze to wszystko co z ust Kozłowskiego słyszał, nie podlega żadnej wątpliwości. W każdem kłamstwie trzeba przedewszystkiem szukać celu, a Kiriejew celu najmniejszego do kłamania nie ma. Ucieszył się tylko wielce ten gorliwy carski czynownik, gdy mu Kozłowski oświadczył, że będzie się starał polaków amerykańskich przeciągnąć na prawosławie, i powiadomił o tem ogół rosyjski, drukując rozmowę z Kozłowskim w "Now. Wremieni".

Ale że Kozłowski łgał i tumanił ludzi na wszystkie strony — nie podlega najmniejszej wątpliwości. W Europie nablagował starokatolickim eparchom, że tu w Ameryce ma za sobą 40.000 polaków-starokatolików, a gdy wrócił do Ameryki parafianom swoim zełgał że starokatolikiem nie jest wcale, jeno prawowitym rzymsko-katolickim biskupem. I połap się tu, człowieku, w tej gmatwaninie kłamstw! Ale prawda, jak oliwa, na wierzch prędzej czy później wypływa. Nie spodziewał się Kozłowski, że jego wynurzenia przed moskiewskim agentem wyjdą kiedy na światło dzienne i w druku ukażą się aż na drugiej półkuli. Dla tego też zamieścił przed paru tygodniami w "Zgodzie" "patryotyczne" wyjaśnienie, w którem z obłudnem oburzeniem wypiera się wszelkiej łączności z moskalami. Ale z powyższego listu Kiriejewa każdy, nawet najmniej pojętny człowiek zrozumie, że Kozłowski jest nie tylko schizmatykiem, szarlatanem i świętokradcą, ale i sprzedawczykiem, zdrajcą narodu polskiego,gdyż nie tylko sam łączy sie z największymi naszymi wrogami, moskalami, ale zbłąkane owce polsko-amerykańskie zamierza złożyć w ofierze carowi — batiuszce.

We "wyjaśnieniu" swem Kozłowski powiada, że jako człowiek dobrze wychowany (!) nie mógł nie przyjąć moskiewskiego generała jeżeli ten mu chciał złożyć swoje uszanowanie (!). Jest to pierwszy wierutny fałsz. Kiriejew pisze wyraźnie że nie on 'u Kozłowskiego, ale Kozłowski był u niego. Po co tam łaził nieproszony, jeżeli nie po moskiewskie ruble, kresty i dla przysłużenia się za nie moskalom!

Chęć tę przysłużenia się prawosławiu wyraził wreszcie Kozłowski zupełnie otwarcie podczas swej wizyty u Kiriejewa. Oświadczył mu, że byłby nad wyraz szczęśliwy, gdyby mógł szerzyć schyzmę starokatolicką wśród polaków w Królestwie w celu przeciągnięcia ich następnie na prawosławie. Na końcu świętokradzki biskup oznajmił, iż się spodziewa,że jego zbór połączy się nierozerwalnym węzłem z prawosławną cerkwią.

Oto do czego prowadzi schizma. Przewidywaliśmy że się tak skończy, ale nie mieliśmy dowodów. Teraz je mamy. Litowaliśmy się przedtem nad zaślepionym ludem, słuchającym szalbierskiego biskupa, teraz, jeżeli i to mu oczów nie otworzy, nie będziemy dlań mieli ani litości, ani pogardy, jeno potępienie. Można błądzić w ciemności, można grzeszyć nieświadomie, ale gdy się tak straszne odszczepieństwo, tak potworną zdradę popełnia ze zupełną świadomością występku — nie masz dla nich przebaczenia, nie masz ułaskawienia.

A Kiriejew gorliwy propagator prawosławia i wróg nasz najzawziętszy, jak zresztą widać z listu, na końcu swej korespondencyi pyta: "co my, rosyanie, mamy o tem sądzić i co nam teraz czynić wypada?"

Jest w tem chytre pytanie i zarazem niema rada. Sypać ruble do Ameryki, nawracać polaków do starokatolicyzmu aby ich tem zwabić do moskiewskiego wora i wór ten zawiązać na wieki.

Hodur też pojechał do Europy. Czy go tam nie sprowadzono za inicyatywą i ruble generała Kiriejew?

Woda święcona.

(Ciąg dalszy.)

Czwartą cechą soli jest, że z a b e z p i e c z a o d z e p s u c i a. Hiszpański autor Gomez mówi, że sól nie tylko obdarza płodnością wszystkie istoty, lecz oprócz tego niby czuła matka, bierze w swoję opiekę dziatki, karmi je i czuwa nad ich całością. Takie jest jej opatrznościowe posłannictwo. Z przywiązaniem macierzyńskiem zamyka się ona wraz z nami w grobie, zabezpiecza ciało nasze od rozkładu jak tylko może najdłużej i niejako je unieśmiertelnia. Ów sławny autor ma tu na myśli balsamowanie ciał po śmierci.

Sól, mówi Pliniusz, jest dzielną zachowawczynią ciał. Przez całe wieki zabezpiecza ona je od rozkładu. Jakkolwiek balsam jest księciem wonności i zwykle jest używany do balsamowania ciał, jednakże doświadczenie uczy, że nie może on tak skutecznie działać bez soli jakoteż sól bez niego. Wprawdzie ciało po śmierci bez użycia soli balsamowane opiera się rozkładowi, lecz jest bardzo kruche i pierwsze lepsze wstrząśnienie w proch je rozsypuje. Inaczej się rzecz ma z ciałami balsamowanymi z użyciem soli. Egipcyanie, owi mistrzowie w sztuce balsamowania, przechowywali ciała, balsamując je solą rozpuszczoną w saletrze i smole ziemnej. Dyadorus Sycylijski i Herodot przekazali nam ich sposób balsamowania. Ostatni przytacza następujący fakt:

Amazys król Egipski, po śmierci nabalsamowany był s o l ą i pochowany w grobie. Miał on nieprzyjaciela niejakiegoś Kambyssa, króla Perskiego. Kiedy ten pewnego razu obległ miasto Sais i zdobył pałac, w którym Amazys mieszkał, kazał natychmiast wywlec ciało jego z grobu i mocno je chłostać rózgami i kłóć ostrymi żelazami, słowem, pastwić się nad nim, jak się tylko komu podobało. Ciało dzielnie opierało się biciu i nękaniu się nad nim, dla tego, że s ó l użytą była do balsamowania. Co widząc Kambysses, kazał je spalić. Widzimy więc z tego wypadku, że sól przy balsamowaniu nadaje ciału trwałości, że się tak łatwo w proch nie rozsypie, a z drugiej strony widzimy, że już starożytni poganie o tem wiedzieli. W starych księgach czytamy, że ludzi, zajmujących się tem nazywano "salinatores", a po polsku solarzami.

Stąd też starożytni poganie jako to: Pliniusz, Herodot, Homer, Platon i Plutarch tak chwalebnie wyrażają się o soli. Mówią oni bowiem, że życie ludzkie bez soli obejść się nie może, że w porządku natury sól jest najcenniejszym żywiołem i darem boskim, że za życia utrzymuje człowieka w granicach rozumu, bo ostrością swoją nie pozwala na nadużycia pokarmów, lecz łagodnem drażnieniem podniebienia pobudza apetyt i ułatwia trawienie; że po śmierci zabezpiecza ciała od rozkładu i nie dopuszcza całkowitego ich zniszczenia, że w grobie jak tylko może najdłużej walczy ze zgnilizną i zastępuje niejako miejsce duszy; że sól jest balsamem natury, przesyca wszystkie ciała i nadaje im mocy, łagodności i pewnego rodzaju nieśmiertelności.

Sól odgrywała też niegdyś bardzo ważną rolę w stosunkach społecznych. Po dziś dzień ludzie tego nie wiedzą, lecz w starożytności lepiej umiano sól szanować. Sól najważniejszą rolę odgrywała przy zawieraniu kontraktów czyli umów. Umowa soli "pactum salis" u żydów była rzeczą najświętszą. Sam Bóg wpoił w nich takie wysokie o soli wyobrażenie. Pomiędzy wielu obietnicami, jakie uczynił ludowi, te dwie są jedne z najważniejszych, a mianowicie: uwiecznienie kapłaństwa ze wszystkimi jego przywilejami w domu Aaronowym i obietnica, że Mesyasz się narodzi z pokolenia Dawidowego.

Otóż te dwie obietnice Bóg potwierdza przez umowę soli, czyli inaczej mówiąc, Bóg przysięga na sól, że obietnic tych dotrzyma. O tem każdy czytać może w księdze Numeri w rozdziale XVIII w. 19. i w drugiej księdze Paralipomenon rozdz XII. w. 5.

Umowa soli więc świętą była w oczach samego Boga a nie inaczej też ludzie ją uznawali. Podam kilka tylko przykładów.

Kiedy żydzi powrócili z niewoli babilońskiej i rozpoczęli odbudowywać Jerozolimę, wtedy nieprzyjacielskie ludy oskarżyły ich przed królem syryjskim Artaxerxesem o bunt przeciwko niemu, a na dowód tego jedli przed nim s ó l, że to, co mówią, jest prawdą. I. Ezdr. rozdz. IV w. 14. Widać w jak wielkiem uszanowaniu była u tych ludzi sól.

Orygenes pisarz kościoła pisze, że w jego czasach nowożeńcy na znak umowy podawali sobie sól wzajemnie i że był zwyczaj przysięgania na sól, a była to straszna przysięga.

Znowu inny autor Gomez pisze, że w starożytności na znak niezmiennej i stałej przyjaźni podawano gościom sól, a jeżeli przypadkowo sól się na stole wysypała, uważano to za złą wróżbę. Mniemali bowiem, że przyjaźń będzie krótkotrwałą. Stąd to pochodzi do dnia dzisiejszego zabobon istniejący o solniczce wywróconej, że gdy się sól rozsypie "przyjaźń się rozrywa".

U Turków zaś i Persów wspólne pożywanie soli, znaczyło to zaprzysiężenie przyjaźni. Z tych kilku przykładów widzieć możemy, w jakim szacunku była sól u starożytnych ludów.

Może mię ktoś o niedorzeczne pisanie o soli posądzi, lecz takiego odsyłam do ksiąg świętych Starego Testamentu, a tam się sam przekona, że sól rzeczywiście jest "symbolem ścisłej łączności rzeczy boskich z ludzkimi". Nie jest to więc mój własny wymysł, lecz jest to ustawa Boska, bo sam Bóg uczy tego lud izraelski, jak to na różnych miejscach Pisma św. czytać możemy. Zresztą gdyby sól nie miała żadnego znaczenia, to dla czegoż Pan Bóg w Starym Zakonie przy wszystkich ofiarach rozkazuje używać soli? Przecież główny cel w Starym Zakonie był, Pana Boga przebłagać za grzechy i pokój z Nim zawrzeć, a jeżeli tak jest, to na co tedy Pan Bóg rozkazał używać soli przy tych ofiarach? widocznie dla tego, iż sól jest symbolem ścisłej łączności i przyjaźni Boga z ludzmi.

Teraz więc z kolei wypada nam mówić o używaniu soli w rzeczach r e l i g i j n y c h, o czem napiszę w przyszłych numerach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Toki naukowe.

Kto takiem sercem zbrojny w zawód wstąpi
I przedmiot zbada, jak wyżej rzeczono,
Bóg rezultatów pracy nie poskąpi;
Złoży ofiarę na ojczyzny łono.

Tok, czyli podział stopniowy nauki,
Porozkładany na części w ten sposób,
Dla osiągnienia celu swojej sztuki,
By stanowiły niby orszak osób,

Co jednem wspólnie obracają kołem
I do jednego zgromadzone celu,
Pracę codzienną odbywają społem,
Jakoby jeden, chociaż jest ich wielu,

Na każdą klasę, na każdą część roku
Ma być wytknięty jako cel cząstkowy,
Jeźli planowi chcesz dotrzymać kroku,
By przedmiot znano nie z książki, lecz z głowy.

Ze względu jednak na sposób wykładu
Takiej całości w przedmiocie wytkniętej,
Dwojaki system mamy do rozkładu
Wedle zasady, od wieków przyjętej:

Tok syntetyczny, czyli zestawowy,
Od najniższego pojęcia do góry;
Analityczny czyli rozbiorowy
Tok do powtarzań najlepszy jest wtóry.

Przy pierwszym trzeba stopniowość zachować,
Od rzeczy znanych do nieznanych kroczyć
I pojedyncze najprzód obrachować,
By do złożonych na drodze nie zboczyć;

Od łatwiejszego iść do trudniejszego,
Od pojedynczych do złożonych rzeczy,
Punkt wyjścia zawsze biorąc z wiadomego
Mając bez przerwy rozwój sił na pieczy.

Analityczny tok na powtarzanie
Pewnej całości najodpowiedniejszy,
Bo tylko przez to spełnia swe zadanie,
Dając pojęciom fundament pewniejszy.

Reprodukcya pierwszych wyobrażeń
Przez analizę działa tutaj silnie,
Pojęcia ciemne, z pierwszych wzięte wrażeń,
Rozwija w jasne i gruntuje pilnie.

J. K.

Tow. Polsko Narodowe Pożyczkowe i Budowlane.

Tow. Budowlane i pożyczkowe w Milwaukee rozpoczęło 3cią seryją w środę 9go Lutego. Zatem każdy życzący sobie zaoszczędzić swój ciężko zapracowany grosz, niech się zgłosi w każdą Środę w tygodniu do sali ob. A. Andrzejewskiego, róg 3ciej i Windlake ave. albowiem w późniejszym czasie musiałby płacić procent. Pospieszcie się póki jeszcze czas, albowiem w pierwszym miesiącu od rozpoczęcia można jeszcze wstąpić bez procentu.

S. Rózga prez.
F. Brzonkała sekr.
J. Bejma kasyer.

Do naszych odbiorców.

Lekarstwo Chamberlain'a na kaszel jest najlepszym syropem do tego celu, jakiego kiedykolwiek używaliśmy dla siebie lub naszych rodzin. W. H. King, Isaac P. King i wielu innych w sąsiedztwie także go uznali najlepszem lekarstwem. Życzymy sobie, aby go tylko spróbowano, a każdy się przekona. R. A. Blake & Son, ryczałtowi kupcy, Big Tunnel, Va. Na sprzedaż w aptece J. W. S. Tomkiewicza, 452 ul. Mitchell róg 2 ave.

CUDOWNY KAMIEŃ.

(LEGENDA.)

I.

Pomiędzy Włościejewkami a Mchami, największymi dziś wsiami powiatu Śremskiego, przed bardzo dawnymi laty rozciągały się wielkie lasy i bory, gdzie teraz żyzne łany i pola złotą rodzą pszenicę. Nie daleko od Włościejewek, wśród lasu, ocienione konarami drzew leży nie wielkie jezioro. Kawał od niego nad drogą, stała przed dawnymi czasy zagroda gajowego Jakóba. Składała się z małego domku, chlewka i stodółki, otoczonych płotem z gęstych pni, a w środku podworza widniał wysoki żuraw studzienki.

Nie był leśnik ten bogatym, ale na niczem mu nie zbywało i w życiu wiodło mu się też niezgorzej, choć bogactw nie posiadał, lecz raz poraz grosz zbytni ukrył w komórce, a i praca jego nie była zbyt ciężka, bo dostatek naówczas opału nie rodził tylu porwiszów drzewa co dziś, i od złodziejów takich nie potrzeba się było ciągle oganiać. Spokojnie więc mógłby był pędzić życie, gdyby żona jego nie mąciła mu tego spokoju.

Była to nie stara, urodziwa kobieta, przytem oszczędna i gospodarna i męża dość kochająca, ale przytem miała ona niegodziwą przywarę: była wielka złośnica i kłótnica.

O lada błachą rzecz unosiła się, złościła, odgrażała, a język z czasem tak jej się w tem wyrobił, takiej nabrał wprawy w doborze słów, że te jak grad padały, a uszy trzeba było już zdala wtedy zatykać. Długo ucierał się Jakób ze żoną, chcąc ją od tego odzwyczaić: prosił, błagał, groził nakoniec, ale ba! poznał w końcu, że wszystko daremnem było, owszem wtedy ona jeszcze więcej docierała słowami. Więc nie chcąc większej czynić obrazy boskiej, uchodził natenczas do lasu i dobrze się nabiegał, nim obliczywszy, że już pogoda po burzy domowej nastąpić musiała, powrócił do domu gdzie tylko jeszcze ostatki burzy w mruczeniu się okazywały.

Grzech karze często sam siebie, tak też i z gajową było.

Dobytek ich stanowiło kilka sztuk bydełka, krówek, cielaków, trzody chlewnej, gęsi i kury; to wszystko potrzebowało opieki, zachodu, starania, i pracy, czemu sama Jakóbowa wydołać nie zdołała Prawda, że była w stanie służebną sobie do pomocy trzymać, o co ją nawet mąż bardzo prosił, lecz cóż, kiedy rozpuszczony język, jak pytel u młyna o byle jaką rzecz, o byle drobnostkę i szkódkę, jakiej w gospodarstwie nie unikniesz, pytlował i odstraszał służbę. I roku żadnego nie minęło, w którymby kilku sług nie musiała gajowa poszukiwać, a najwięcej sama napracować się musiała.

Druga troska Jakóba była, a tą się już oboje troskali, brak potomstwa. Choć na to dziś narzekają ludzie, zamiast dzięki Bogu składać za błogosławieństwo Jego w dzieciach, a przecie, jeźli Bóg daje dzieci, da też na dzieci, bo jak Pismo św. mówi: "I lilije polne Bóg przyodziewa, a ptaki niebieskie żywi", a czyżby o ludziach, na obraz Jego stworzonych, zapomniał? O nie, lecz Bóg chce, by pracą i trudami około dziatek zasłużyć sobie na miano rodziców. A jednak i dziś, kiedy Bóg tylko cofnie rękę błogosławiącą i nie opatrzy rodziny dziatkami, jakto tam w niej wygląda. Jaka to niechęć do wszystkiego ich ogarnia i zazdrość na grono czerstwych dziateczek, bo czują, że nie wypełnili posłannictwa swego na ziemi. Tak i nasi gajowi smucili się tem, trapili i zazdrościli innym szczęścia tego, a zwłaszcza Jakóbowi ciężko to na sercu zawisło.

Minęło skwarne lato, nastała chłodna jesień. Pracy około pól zatem było więcej jak zwykle. Pomagała Jakóbowej dzielna i pracowita sługa, ale razu pewnego, rozgniewana gajowa na nię wrzaśnie:

— Oby cię już raz czarci porwali! ty przebrzydła dziewczyno.

— A po cóż mię mają czarci brać? — odrzekła — toć ja sama mogę zaraz odejść, kiedy się wam nie zdam.

Jakoż zabrawszy wieczorem manatki, niespostrzeżenie odeszła.

Dni ubywało, a wieczory były dłuższe, zima nadchodziła wtedy naprawdę, gajowa podołać sama robocie nie mogła i jakoś znikąd sługi dostać nie było można. Nadeszła i wigilia Bożego Narodzenia. Roboty w dzień ten było w domu więcej, niż zwykle, to też ciągle niecierpliwiła się gajowa i nakoniec złość na męża wywarła i obsypała go gradem słów bezbożnych. Wtedy wyszedł z izby, schwycił kij spory i puścił się na oględziny lasu, by dopiero na wieczerzę do domu przybyć.

Obszedłszy sporo lasu, zwrócił się na drożynę, gdy śnieg coraz sporszymi płatkami sypać począł, a zimno wzmagającem się zdawało. Spuścił więc futrzaną czapkę na uszy i ku domowi kroki skierował, gdy tuż pod ogromną sosną jakiś widok go uderzył.

Coś pochylonego do ziemi, w kłąb zwiniętego i śniegiem obielonego zobaczył. Zbliżywszy się, zapytał:

— Kto tu jest?

Zamiast odpowiedzi jęk i płacz usłyszał.

— Na Boga, mówię, kto jesteś? — zapytał, ująwszy ręką postać, gdy dziewczynkę licho odzianą, zmarzniętą i trzęsącą się zobaczył.

— Skąd się tu biedactwo wzięłaś? Czemu do domu nie idziesz, zmarzniesz jeszcze na drodze.

— Ja nie mam domu żadnego, jestem sierotą, sama jedna na świecie.

— Nie masz domu, biedaczko, to chodź ze mną, co się ogrzejesz i posilisz.

— Dziewczę z wdzięcznością spojrzało na gajowego i podążyło za nim, ale zmarznięta szła nie sporo, ujął więc ją za rękę i poprowadził do zagrody.

— Już tak długo na cię czekać musiałam, wieczerza już gotowa, wrzasła na wchodzącego męża gajowa — narobiłam się jak niestworzenie Boże, a on jeszcze na siebie oczekiwać każe. Już ja sama nie podołam i jak mnie złość porwie, to wszystko rzucę.

— Toć ci prowadzę pomoc, rzekł, wchodząc gajowy.

— Gdzie, kogo? mówże!

— Oto tu jest — rzekł, puszczając naprzód przestraszone dziewczę.

— Cha, dziecko, jakiś skrzat, wyjadacz chyba do miski; a skąd je to nabyłeś?

— Bóg ją nam zesłał na gwiazdkę: sierota, jak powiada; nie mamy własnych dzieci, moglibyśby je zatrzymać, a ty będziesz miała z czasem pomoc.

— Wyjadaczka chyba, już one to wszystkie kata warte, jak się wygryzie to pysk znajdzie.

Dziewczę na te słowa strwożone spojrzało na gajową.

— Nie zawadzi nam popróbować, widać sam Bóg nam to lichoctwo daje — dodał Jakób.

Łzy zrosiły niebieskie oczka dziewczęcia, te rozbroiły panią gospodynią, udobruchała się i rzekła:

— A jak ci na imię?

— Marysia! — cicho odpowiedziała sierota.

— No, tylko już nie płacz! jeśli będziesz chciała mnie słuchać, toż ci łyżki strawy nie pożałuję! a teraz siadajcie, bo wieczerza wystygnie, a dziewczyna pewnie i głodna, dodała Jakubowa.

Gajowy, wedle staropolskiego zwyczaju, odmówił modlitwy przed jedzeniem, podzielił się opłatkiem ze żoną i sierotką: zasiedli w troje do stołu sutego, poczem znów Bogu za dary Jego podziękował.

Marysia, ośmielona zachętą gajowego, najadła się dobrze, że aż blada twarzyczka rumieńcem się zabarwiła, gdy i błogie ciepło po ciele uczuła.

— Usiądź sobie przy piecu, rozgrzej się i opowiedz nam coś o sobie! — rzekł gajowy.

Dziewczę z płaczem opowiedziało, że wcale ojca nie pamiętało, że z biedną matką żyło samotnie, a gdy ta po długiej chorobie umarła, nie mając, krewnych ni przyjaciół żadnych, przeszło rok cały z jałmużny żyło, aż gmina, bojąc się, by im na koszcie nie pozostała, wydaliła ją przed zimą. Poszło więc w świat szeroki szukać przytułku, którego nigdzie nie znalazło; szło dalej, płacząc po drodze, aż dziś siły ją opuściły i pod sosną odpoczywające znalazł je gajowy. Kiedy więc usłyszało, że je dobroczyńcy u siebie zatrzymać mają, ucieszyło się wielce, ręce im ucałowało i obiecało być pilnem i posłusznem. Tak zrządzeniem Bożem znalazła w samę gwiazdkę i dom i opiekę u gajowych.

II.

Już dobrze rok upłynął, jak Marysia w lesie mieszkała. Była ona bardzo posłuszną i pilną, nie leniła się do żadnej roboty, chcąc się dobrodziejom wywdzięczyć, a mimo to często, bardzo często ofukała ją niecierpliwa gospodyni, ba i wyzwała ją nieraz i kułakiem poczęstowała, choć w gruncie duszy cieszyła się nabytkiem dziewczęcia, bo ani połowy teraz pracy nie miała, składając ją na Marysię; lecz przyzwyczajonemu językowi trudno się było oduczyć. Marysia zaś chętnie jej to darowała, bo zawsze się ona winną widziała i na siebie winę składała; jedynie klątwa niewymownie ją przerażała, bo dziewczę dziwnie dobrem było.

Choć roboty miało sporo i gospodyni Marysi ani chwili wolnej nie dawała, jednak tak się z robotą urządziła i zawinęła, że zawsze ją pokończyła. Czas wolny w komórce swej Bogu poświęcała; odmawiała klęcząco pacierze tak rano jak i wieczorem, przed każdą robotą wpierw się przeżegnała i Bogu ją polecała, to też łaska Boża dopomagała jej i swobodną była, a i bladość lic znikła, a twarz rumieńce osiadły.

Gajowy, poznawszy ją dobrze, dziękował Bogu za nię, bo zdawało mu się jakoby z dobrą Marynią i błogosławieństwo Boże rosło i gdyby nie złość żony, byłby całkiem szczęśliwy.

W poblizkiem miasteczku był jarmark. Gajowa wraz z mężem wybrała się nań po różne sprawunki, które do domu zakupić trzeba było, dom więc pieczy Maryni poleciła. Nadto przykazała jej, by przed wieczorem z pobliskiego jeziora naniosła wody do jutrzejszego prania.

Pospieszyła się Marysia z robotą i jeszcze słońce wysoko z południa stało na niebie, kiedy ona zamknąwszy dom, wzięła wiadra na ramiona i jak zwykle wpierw się przeżegnawszy, ku jezioru po wodę poszła. Trochę zmęczona chciała chwileczkę na wielkim płaskim kamieniu, który tuż przy brzegu jeziora leżał, odpocząć, ale myśl rozkazu, iż gospodyni kazała jej nie próżnować, więc ująwszy wiadra w ręce, nachyliła się i zanurzyła je we wodzie. Atoli na śliskim brzegu noga jej się posunęła i chcąc się od upadku zabezpieczyć, puściła wiadra i ręką się podtrzymała; lecz niestety, pełne wody w i a d r a, puszczone z ręki, nagle pod wodę w głębinę na dno poszły i znikły z oczu Marysi.

— O Boże, Boże! gdzie moje wiadra? — wyjękła. — Ach, co powie gospodyni? nowiuteńkie jeszcze były, co ja, biedna pocznę, och jak będzie na mnie klęła i tego wszystkiego moja nieuwaga przyczyną!

Oglądała miejsce, czy ich nie zobaczy, poszukała spory drążek, mąciła nim wodę, czy na dnie nie natrafi, ale gdzie tam, ni śladu; stromy brzeg jeziora uniosł je pewno daleko pod wodę.

— O najdroższa święta Panienko! ratuj biedną sierotę! wyrzekła ze łkaniem — bo ile to będzie obrazy Boga, gdy ja bez wiader powrócę! O ja nieszczęśliwa! O pomóż mi święta Maryo! płakała dalej, a nie wiedząc co ma począć, patrzała wciąż na igrające spokojnie fale jeziora, ale pod nimi nic widać nie było.

Bezmyślnie zwróciła się od wody, gdy w tem spostrzegła na kamieniu stojącą jakąś św. osobę. Przelękniona widokiem i jasnością osoby olśniona, mimowolnie padła na ziemię.

— Nie smuć się, Marysiu! rzekła łagodnie osoba na kamieniu. — Syn mój wysłuchał prośby twojej, tylko służ Mu zawsze wiernie!

Nie podobna opisać wrażenia, jakie dziewczynę ogarnęło. Radość, przestrach, cześć i wdzięczność ją opanowały, zapomniała całkiem o wiadrach, tylko w piękną postać oczy wlepiła, aż ta jej nagle zniknęła z oczu i ostry krzyk wyrwał ją z tego niebiańskiego zachwytu.

BOBERT DJABEŁ.

(Dokończenie.)

Cesarz ucieszył się bardzo tą mową Roberta, przycisnął go do siebie i ucałował, potem wziął rękę swej córki i podał ją do ręki swego wybawcy. "Bierz, mój kochany synu — rzekł rozczulony — jedyny i największy skarb mój na świecie, jedynaczkę córkę za małżonkę. Bądźcie szczęśliwi i żyjcie ze sobą w zgodzie i miłości, bo taką jest wola Najwyższego!" Robert zapalony gorącą miłością ku pięknej cesarzównie, ujął jej rękę z radością, objął wpół i przycisnął do siebie, wyciskając na karminowych ustach namiętny pocałunek. Cesarzówna aż spłonęła cała z wielkiej miłości i rozkosznego uczucia, ale wnet wysunęła się lekko z objęcia, bojąc się, by nie wykroczyła więcej przeciw skromnej przyzwoitości.

Tego samego jeszcze dnia pobłogosławieni na nową drogę życia przez samego Ojca świętego, poczem rozpoczęły się uroczystości weselne, trwające trzydzieści dni z rzędu, bo takie były dawniej obyczaje. Odbywano także turnieje, w których i pan młody brał udział objawiając w nich swą nadzwyczajną siłę, przed którą uciekali walczący.

Po weselu, pożegnawszy cesarza, papieża i wszystkich rycerzy, udał się Robert razem ze swą gorąco upragnioną i przecież otrzymaną małżonką w drogę do Normandyi, aby w miejsce dawnego smutku sprawić jej teraz rozkosz i radość prawdziwą.

ROZDZIAŁ XIX.

Robert udaje się do Normandyi i dalsze jego losy.

Skoro Robert po wielu trudach podróży przybył nareszcie do miasta Ruen, poddani przyjęli go z radością, bo sława jego czynów rozeszła się już dawno po całej Normandyi. Jednak prawdą jest to przysłowie, że wszelka radość musi być czemś zamącona. Robert bowiem już nie zastał swego ojca — umarł biedak ze zmartwienia przed rokiem. Matka za to uszczęśliwiona była nad wyraz z powrotu syna, którego już miała za umarłego. Radość jej była tem większą, gdy przekonała się, że przekleństwo jej, tak długo na dziecku ciążące, jest wreszcie zmazane. To też z radością udzieliła swego błogosławieństwa synowi i jego małżonce.

Po śmierci męża, stara księżna nie jednę gorzką przeżyła chwilę. Niewierny wasal chciał odebrać jej księstwo, a nikt nie ośmielił mu się sprzeciwić, bo każdy lękał się jego potęgi. W duszy jednak wszyscy w najwyższym stopniu byli nań oburzeni. To też z niecierpliwością oczekiwali powrotu następcy księcia, a gdy teraz przybył szczęśliwie, złożyli mu hołd przynależny i prosili o ukakaranie buntownika. Robert wkrótce się z nim rozprawił i po niewielkiej potyczce pojmał go i wsadził do więzienia w Ruen dla pokuty. Odtąd panował spokój w Normandyi, bo rządy Roberta były mądre i sprawiedliwe, tak że poddani czuli się szczęśliwymi i zapomnieli o krzywdach im wyrządzonych.

Wkrótce potem powiła mu żona ładnego chłopaczka, który urosł na mężnego rycerza i wraz z cesarzem Karolem bronił św. wiary i ojczyzny od najścia Saracenów. Książę Robert żył długo w miłości i zgodzie ze swą ukochaną małżonką. Po śmierci jej, nie utulony z żalu, oddał rządy synowi a sam zamknął się w klasztorze, wybudowanym w miejscu dawnego zbójeckiego zamku. Tam umarł w podeszłym wieku, opłakiwany przez swych poddanych, których obficie obsypywał różnymi dobrodziejstwami, wynagradzając tem dawne krzywdy i przewinienia.

PŁAĆCIE ZA KATOLIKA

Zagraniczne.

HAKATYŚCI PRUSCY KIEPSKIMI SZUFLERAMI RZĄDU WOBEC POLAKÓW.

Za wpływem Hakatystów pruskich, wniósł prezes ministerstwa niemieckiego, książę Hohenlohe projekt w parlamencie względem uchwalenia 100 milionów marek na uzupełnienie funduszu kolonizacyjnego, czyli wykupno ziem z rąk polskich dla Niemców Tudzież 400 sysięcy marek na fundusz dyspozycyjny do popierania niemczyzny w Poznańskiem, Prusach Zachodnich i rejencyi opolskiej.

Otóż przeciw projektowi temu stanęli murem nie tylko polscy posłowie lecz i stronnictwo niemiecko katolickie zarówno w parlamencie jak i w czasopismach, dowodząc rządowi, że głównie mu się rozchodzi o sprotestantyzowanie polaków i wołając: "Co nam po bezmyślnej paplaninie niemieckiej, którą się mają inni posługiwać wbrew swej woli.

Obrady pruskiej izby posłów nad powiększeniem funduszu kolonizacyjnego toczyły się 20 stycznia.

Przebieg ich jest następujący:

Najprzód przemawiał za odnośnym projektem prezes ministerstwa pruskiego, kanclerz, książę Hohenlohe. Twierdził, że chodzi o obronę niemczyzny, nie zaś o dążność zaczepną przeciw Polakom. sam zaprzyjaźniony z wielu Polakami, lecz musi wyznać, że "propaganda polska kryje w sobie wielkie niebezpieczeństwa dla Niemiec."

X. prałat Dr. Jażdżewski uwydatnia, że antypolski fundusz sprzeciwia się konstytucyi pruskiej i że zakłóca pokój między polską i niemiecką ludnością. "Na nas", tak mówił czcigodny poseł, "postępowanie rządu robi wrażenie, że nie jesteśmy pod rządem ojcowskim (landesvaeterliche Regierung)" — oklaski w centrum, szemranie na prawicy (wśród konserwatystów), "lecz rząd dąży do tego, aby żywioł polski przytłumić (unterdruecken). Protestujemy przeto przeciw tej noweli i nie będziemy brali udziału w dalszych obradach nad tym projektem, chyba że jakie szczególne okoliczności nas do tego zmuszą". (Porównaj dosłownie umieszczony protest, wygłoszony przez ks. Dr. J.)

Konserwatysta śląski von Heydebrand przemawia za funduszem.

Inny poseł, niemiec w imieniu całego centrum uznaje ten projekt za przeciwny konstytucyi pruskiej. Oczywiście ma ten fundusz na celu zniszczenie polskości i szkodzi też katolicyzmowi. Zresztą każdy wie, jak mało dokazano pierwszą sekcyą milionów. Jest to marnowanie grosza publicznego, który składać muszą też katolicy i sami Polacy, choć on przeciw nim bywa obracany. Poseł wyraża zdziwienie, że kanclerz książę Hohenlohe może taką politykę Bismarkowską dalej prowadzić i przytacza wiersz:

"Es thut mir in der Seele weh,
Dass ich ihn in solcher Gesellschaft seh!"

Minister rolnictwa von Hammerstein usiłuje wykazać, że fundusz nie sprzeciwia się równouprawnieniu i że tylko wymierzony jest przeciw "wielkopolskiej agitacyi".

Wolnomyślny poseł Munckel żąda odrzucenia funduszu, gdyż się sprzeciwia konstytucyi pruskiej i rozdraźnia narodowe uczucia.

Minister skarbu, Miquel obstaje przy tem, że Polacy myślą o odszczepieniu się od państwa pruskiego i marzą o odbudowaniu Polski.

Nacyonalny liberał Seer wtóruje panu ministrowi i twierdzi, że spółka hakatystów wywołaną została przez szorstkie zachowanie się Polaków naprzeciwko Niemcom.

Katolik Nadbyl z Górnego Slązka piętnuje ustawę antypolską jako wyjątkową i zarazem antypolską, co już ś. p. baron Schorlemer z Alst r. 1886 przepowiedział przy obradach nad pierwszą setką milionów. Chodzi o wytępienie nie tylko polonizmu lecz też katolicyzmu.

Minister skarbu Miquel zaprzecza, żeby "agitacya wielkopolska" powstała dopiero wskutek ustawy kolonizacyjnej. Aleć p. Nadbyl też tylko twierdził, że agitacya ta wzmaga się na Górnym Slązku i nawet na Mazarach w skutek tej ustawy.

Hr. Molke, wolny konserwatysta wyraża ubolewanie swoje, jakoby się nie znajdowali pod rządem ojcowskim.

Projekt oddano ostatecznie komisyi budżetowej do zbadania.

Protest Koła polskiego w pruskiej Izbie poselskej przeciw antypolskiemu fundszawi kolonizacyjnemu

wygłoszony przez X. prałata Dr. Jaźdźewskiego dnia 20go bm., jak następuje:

Przy obradach nad projektem kolonizacyjnym z 26 IV 1886 zaprotestowała frakcya polska, uzasadniając protest swój zagwarantowanymi Polakom prawami i obietnicami królewskimi, również jak i odwołaniem się na § 4 i 99 konstytucyi pruskiej i § 3 konstytucyi niemieckiej. Zwróciliśmy wtedy uwagę, że w ten sposób ograniczono prawa ludności polskiej, równie pod ekonomicznym jak i politycznym względem; prócz tego projekt kolonizacyjny przyczynia się tylko do zwaśnienia narodowości i zwiększenia nienawiści religijnej.

I dziś stoimy na gruncie tych zapatrywań.

Rezultaty, jakie dziś okazały się wynikiem rzeczonego projektu, wykazują, że dzięki sposobom, jakimi się rząd we wykonaniu prawa kolonizacyjnego posługiwał, przyszło do pogłębienia i zaostrzenia stosunków między narodowościami, prócz tego wzrosła zastraszająco emigracya między ludem polskim, wypędzonym z ojczystego zagona, a niezmiernie zmniejszyła się w oczach ludności polskiej powaga rządu, wiara w jego dobre chęci i zamiary.

W obec tych zastraszających faktów staraliśmy się nakłonić królewski rząd do zniesienia komisyi kolonizacyjnej przez powtarzanie z roku na rok odnośnych wniosków Działaliśmy tak zarówno w interesie państwa jak i zgodnego pożycia obydwóch narodowości.

Królewski rząd odpowiada nam na to w ten sposób, że stawia dziś wniosek o powiększenie poświęconych na cel kolonizacyi milionów, do czego i nasze prowincye przyczyniać się muszą — a przy tem nieprawnie i jednostronnie oskarza całą ludność polską o naruszenie spokoju publicznego. W ten sposób daje nam królewski rząd dowód, że ludność polska nie ma do czynienia z rządem ojcowskim, lecz z rządem, który hołduje systemowi bezwzględnej germanizacyi, zaostrzania i jątrzenia stósunków narodowościowych i religijnych, a w ten sposób depce wszelkie podstawy moralności i prawa, które uszanować powinien rząd rozumny w cywilizowanem państwie.

W obec takich faktów ponawiamy niniejszem wyraźnie i uroczyście nasz protest przeciw materyalnemu i formalnemu uzasadnieniu ustawy z 26go kwietnia 1886, która według naszych zapatrywań nie da się pogodzić z przesami konstytucyi.

Zanosimy protest przeciw zamierzonemu obostrzeniu jego przepisów przez przeznaczania na ten cel nowych funduszów państwowych i jeżeli nie zmuszą nas do tego szczególne powody, nie będziemy brali udziału w obradach nad tym projektem rządowym.

Zdania prasy pruskiej o powiększeniu funduszu kolonizacyjnego

katolicka gazeta berlińska "Mark. Volksztg." tak się wyraża: "Projekt kolonizacyjny! — co za niewinna nazwa! A jednak ileż to się za nią ukrywa: walka państwa przeciw całej narodowości, walka państwa przeciwko Kościołowi katolickiemu, walka przeciw jednej i drugiemu państwowymi pieniądzmi z podatków, które pochodzą także od katolików i zwalczanych Polaków!"

Przytoczywszy ustęp z motywów ustawy, tak dalej pisze wzmiankowana gazeta katolicka: "Rząd we wzroście polskiej drobnej własności na wsi upatruje coś niebezpiecznego dla tego jedynie, że chodzi tu o Polaków, którzy się osiedlają. Ale sprawa ta ma jeszcze jednę i to ekonomiczną stronę. A ta strona musi nie mile dotykać każdego przyjaciela ludu i każdego zwolennika zdrowego rozwoju ekonomicznego, mamy na myśli tę okoliczność, że właśnie drobna własność ziemska tak pomyślnie się rozwija. Polacy nie mają 100 milionowego funduszu na usługi i własnymi siłami kolonizują ziemie drobnymi gospodarstwami. Żywiół niemiecki pracuje przy pomocy olbrzymich środków państwowych, a jednak nie posuwa się naprzód!

Skąd to może pochodzić? Nasamprzód w kadżym razie stąd, że Polacy rzecz lepiej rozumieją i zręczniej zabierają się do niej, niż Niemcy. A potem stąd, że Polacy niejednokrotnie są skromniejszymi w swych żądaniach do życia i dla tego łatwiej pokonują trudności kolonizacyi, aniżeli Niemcy. Słowem, Polacy okazują się w porównaniu z Niemcami lepszymi kolonistami, lepiej dorośli do zadań kulturnych na wsi w dzielnicach wschodnich, aniżeli Niemcy...

Polacy są tak samo pruskimi obywatelami państwa, jak Niemcy i w największej części, mimo wszelkich podejrzywań, równie dobrymi. Cała tak zwana ustawa kolonizacyjna dla tego jest sama w sobie nie tylko niesprawiedliwością, ale nadto nierozsądkiem, ponieważ chce przemocą z Pozn. i Prus Zachodnich wyprzeć żywioł ludności, o którym uzasadnienie t. zw. ustawy kolonizacyjnej samo przyznać jest zmuszone, że nadaje się doskonale do kolonizowania i dalszego kultywowania owych dzielnic wschodnich. Stósownie do tego przyznają też ostrożni zwolennicy t. zw. dzieła kolonizacyjnego bez ogródki, że fundusz 100 milionowy chybił dotąd celu.

Ale to prawda, Polacy mają jeden błąd wielki: są wszyscy bez wyjątku katolikami! A to mniej się jeszcze u nich podoba, aniżeli narodowość. Wiele przykładów poucza nas, że do Poznańskiego i Prus Zachodnich tak samo nie chcą sprowadzać Niemców katolików, jak tam nie chcą mieć Polaków. A stąd wynika nowa niesprawiedliwość zasad, z których wyłaniają się projekty kolonizacyjne. Protestantyzowanie a nie germanizowanie jest hasłem."

STRACH NIEMIEC PRZED AMERYKAŃSKĄ WSZĄ.

Berlin 4 lutego. Według Reichsanzeigera znalazł niejaki prof. Frank w Hamburgu na kalifornijskich gruszkach gatunek mszyc, nazwanych wesz ze St. Jose. Skutkiem tego wyraził swe mniemanie, że krajowy owoc w Niemczech mógłby przez to ulec wielkiemu niebezpieczeństwu. Jakkolwiek wiadomo każdemu, że w każdym kraju są w sadach mszyce i jakkolwiek Niemcy mieli cywilną odwagę 500 milionową ludność chińską straszyć, to przecież tak się wylękli na widok amerykańskiej wszy, że natychmiast konferencyą uczonych zwołali i po długiej debacie wydali zakaz przywozu amerykańskiego owocu w świeżym stanie w granice Zjednoczonych Niemiec.

A więc amerykańskie mszyce, daleko więcej widać zatrważają Niemców niż chińskie słonie.

GALICYA.

W Tarzowie zmarł 19go stycznia X. Antoni Brzeziński, Filipin, kapłan jubilat, urodzony r. 1820, wyświęcony na kapłana r. 1847. Odbywając studya akademickie we Fryburgu badeńskim, zaprzyjaźnił się tam z ś p. Juliuszem Prądzyńskim, późniejszym prałatem, zmarłym w Pelplinie na początku grudnia r. 1894. Przez kilka lat był profesorem historyi kościelnej przy seminaryum duchownem w Poznaniu. Potem wstąpił do Kongregacyi księży Filipinów w Gostyniu. Kulturkamf go ztamtąd wydalił, jako też całą Kongregacyą, która osiadła w Tarnowie w Galicyi. Ten nieboszczyk rozwijał bardzo zbawienną działalność. Wydał kilka dzieł, między innymi przerobienie kilku ascetycznych prac X. Drużbackiego, Jezuity zmarłego przed przeszło dwustu laty w rozgłosie świętości. Niejednego chwiejącego się we wierze umocnił, a nawet kilku "uczonych" niedowiarków nawrócił. Szczególnie wiemy to o jednym filologu, który, odzyskawszy przez jego pośrednictwo wiarę, poświęcił się stanowi duchownemu i bardzo pożytecznie działa jako profesor. Biegłości w zwalczeniu błędów nabył już jako student we Fryburgu, gdzie razem z ś. p. X. Felixem Kozłowskim i X. Juliuszem Prądzyńskim zwalczał panteizm głośnego filozofa polskiego Bronisława Trentowskiego, który też później szczerze się nawrócił.

WŁOCHY.

Z Neapolu nadeszła bolesna wiadomość o śmierci tamtejszego Arcybiskupa X. Sarnelli, który ledwie od roku przeniesiony został z Castellamars na tę stolicę. Zmarły pozostawia po sobie pamięć gorliwego pasterza męża nauki i cnoty.

Odwołanie.

W tutejszym "Daily News" ukazał się w zeszły wtorek artykuł, jakoby na przyszłą sobotę niezależni mieli mieć mityng u Jana Jackowskiego na narożniku Lincoln avenue i ulicy Greenbush, w celu założenia niezależnej parafii w Milwaukee. Pod tym artykułem podpisanych było trzech: F. S. Pasterski, T. Dembiński i V. Murawski.

Teraz się wykazuje, że tylko farsa, którą narobił niezależny nauczyciel Pociechowski ze South Milwaukee.

F. S. Pasterski był w Redakcyi Katolika i absolutnie rozkazał to odwołać jako kłamstwo — i ze on nie pozwolił Pociechowskiemu swego nazwiska podpisywać. Z tego jednak widać, że niezależnym okropnie Milwaukee pachnie, lecz "nie dla psa kiełbasa."

Jan Malewicki, mieszkający pod Nr. 487 przy ulicy Maple, uczeń szkoły parafialnej św. Stanisława, odznacza się szczególnym darem w rysunkach; obrazy jego krydką robione na podstawie fotografij gabinetowych, nie pozostawiają nic do życzenia. Kto nie może w inny sposób wesprzeć go w dalszem kształceniu tego daru, powinienby sobie poczytywać za obowiązek, dać mu przynajmniej odrobić z fotografii swój obraz, któregoby tak a tak nikt lepiej i taniej (bo za $1.00) nie wykonał.

PŁACCIE ZA KATOLIKA